NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 34 Katowice, dnia 23-go sierpnia 1931

Na niedzielę trzynastą po Świątkach

Lekcja.

Galat. III. 16—22.

Bracia! Abrahamowi opowiedziane są obietnice i nasieniu jego. Nie mówi: i nasieniom, jakoby w wielu, ale jako w jednem: i nasieniu twojemu, który jest Chrystus. A to powiadam, testamentu przedtem od Boga utwierdzonego, zakon który po czterechset i trzydzieści lat dan jest, nie wątli ku zepsowaniu obietnicy. Albowiem jeśliż z zakonu dziedzictwo, już nie z obietnicy; lecz Abrahamowi przez obietnicę Bóg darował. Cóż tedy zakon? Postanowiony jest dla występków, ażby przyszło nasienie, któremu obiecał rozrządzony przez anioły w ręce pośrednika. A pośrednik nie jestci jednego, lecz Bóg jeden jest. Zakon tedy przeciwko obietnicom Bożym? Nie daj Boże! albowiem gdyby był dan zakon, któryby mógł ożywiać, prawdziwieby z zakonu była sprawiedliwość. Ale pismo zamknęło wszystko pod grzechem, aby obietnica z wiary Jezusa Chrystusa była dana wierzącym.

Ewangelja.

Łuk. XVII. 11—19.

W on czas: Gdy szedł Jezus do Jeruzalem, szedł środkiem Samaryi i Galilei. A gdy wchodził do niektórego miasteczka, zabieżeli mu dziesięć mężów trędowatych, którzy stanęli z daleka i podnieśli głos, mówiąc: Jezusie Nauczycielu, zmiłuj się nad nami! Które gdy ujrzał, rzekł: Idźcie, okażcie się Kapłanom. I stało się gdy szli, byli oczyszczeni. A jeden z nich gdy obaczył że był uzdrowion, wrócił się głosem wielkim chwaląc Boga, i padł na oblicze u nóg jego, dziękując; a ten był Samarytanin. A Jezus odpowiedziawszy, rzekł: Azaż nie dziesięć jest oczyszczonych? a dziewięć kędy są? Nie jest naleziony, któryby się wrócił, a dał Bogu chwałę, jedno ten cudzoziemiec. I rzekł mu: Wstań, idź, bo wiara twoja ciebie uzdrowiła.

Żywot świętego Bernarda, opata

20 sierpnia.

Bernard, najdzielniejszy i najsławniejszy mąż swego czasu, jeden z najsłynniejszych rycerzy Kościoła wojującego, urodził się w mieście Dijon w Burgundji i pochodził z staroszlacheckiej familji. Ojciec jego był żołnierzem, matka bogobojną niewiastą, pod której okiem talenta i zalety dziecka pięknie się rozwinęły. W szkole w Chatillon prześcignął Bernard wszystkich współuczniów w nauce i cnocie. Tu także w wigilję Bożego Narodzenia miał objawienie. Ukazał mu się bowiem Pan Jezus w blasku nadprzyrodzonym i wyjaśnił mu tajemnicę Swego człowieczeństwa. Od tego czasu zapalało serce młodzieńca najgorętszą miłością Jezusa i Marji.

W dziewiętnastym roku życia pospieszyć musiał do konającej matki. Śmierć jej osierociła go, gdyż ojciec wziął był udział w wyprawie wojennej. Bernard wystąpił na świat w całym blasku urody cielesnej, uposażony hojnie w talenta, wymowę i przywileje bogactwa i szlacheckiego pochodzenia. Był on przedmiotem powszechnego podziwu. Lubo sumiennie przestrzegał czystości myśli i żywota, zdarzyło się pewnego razu, iż upodobawszy sobie panienkę szlacheckiego rodu, spojrzał na nią pożądliwem okiem. Zdybawszy się na grzechu, pobiegł niebawem do pobliskiego stawu, przerąbał w pewnem miejscu lód i skoczywszy w przerębłę tak długo w niej pozostał, póki nie nadbiegli ludzie i nie wyciągli go z wody półmartwego. Kilkakrotne pokusy zalotności i lekkomyślności wywołały w nim silne postanowienie schronienia się do zaciszy klasztornej; ale zamiarowi jego stawili silny opór ojciec, rodzeństwo i krewni. Ostatecznie jednak ulegli wszyscy nieugiętej jego woli; ojciec umilkł, a pięciu braci i dwudziestu czterech paniczów należących do najznakomitszych rodzin, pomiędzy nimi św. Stefan, poprosiło o przyjęcie do klasztoru Cystersów. Przy pożegnaniu rzekł najstarszy brat do młodszego : „Bądź zdrów, miły braciszku. Ty teraz będziesz panem zamku i wszystkich włości do niego należących“. Chłopczyna odpowiedział z płaczem: „Jak to, wy bierzecie sobie niebo ,a mnie zostawiacie ziemię? O jak niesprawiedliwym jest taki podział“ Po kilku leciech wstąpił i on do zakonu.

Bernard poddał się bezwarunkowo całej surowości reguły zakonnej i tak dalece opanował swe zmysły, że nic nie zdołało zerwać jego styczności z Bogiem.

Tymczasem wzrosła liczba zakonników do tego stopnia, że opat Stefan przyjął od hrabiego Hugona smutną i posępną „dolinę piołunową“ w

darowiźnie i posłał tam dwudziestopięcioletniego Bernarda z dwunastu zakonnikami z poleceniem, aby na tem pustkowiu założył klasztor. Trudne to było zadanie; zakonnicy krwawo i w pocie czoła pracować musieli, ażeby z nieurodzajnej ziemi wydobyć liche pożywienie dla mieszkańców klasztorów, a chleb, który jedli, był tak czarny i twardy, że goście bawiący w klasztorze płakali ze wzruszenia, widząc nędzne ich wieczerze. Ale opat Bernard umiał podwładnych zakonników natchnąć takich duchem miłości i zadowolnienia, że „dolina piołunowa" zamieniła się niezadługo na „dolinę jasności" (Clairvaux — Clara vallis). Zewsząd zbiegali się ciekawi, pragnący poznać świątobliwość ich żywota pełnego mozołów i trudów. Doszło nawet do tego, że wielu rodziców strzegło pilnie swych synów i zakazywało im chodzić do Clairvaux z obawy, aby wstępowali do nowicjatu, zwabieni świętym przykładem Bernarda.

Po kilku latach liczył klasztor siedmiuset księży zakonnych, pomiędzy którymi byli książęta, hrabiowie, wojownicy, uczeni, artyści, a nawet rodzony ojciec Bernarda, a prośby o przyjęcie tak się mnożyły, że w kilkanaście lat powstało po różnych krajach sto sześćdziesiąt nowych klasztorów. Niezmierna ta praca utrudzała wprawdzie młodego opata; ale jedynym jego wypoczynkiem była przechadzka po samotnym lesie, gdzie w cieniu szumiących jodeł zatapiał się w myślach o Bogu, wołając: „O błoga samotności, o samotna błogości".

Sława Bernarda rozeszła się i rozbrzmiewała po wszystkich krajach i połowa Europy słysząc o jego mądrości i dzielności ducha, zasięgała rady jego. Udawali się do niego świeccy i duchowni, królowie i papieże, książęta i biskupi i powierzali mu najtrudniejsze i najzawikłańsze sprawy.

Smutek i strapienie panowało wtedy w świecie chrześcijańskim. Poparty bowiem przez przemożne stronnictwo Anaklet II. strąciwszy ze stolicy Piotrowej prawowitego papieża Innocentego II, siał ziarno niezgody i wzniecał krwawe rokosze. Dobrze myślący przywołali Bernarda z cichego ustronia. Zacny opat przebiegł całe Niemcy, Francję i Włochy, i piorunująca wymową i wznawiającemi się codzienne cudami przy chorych, kalekach i zatwardziałych grzesznikach tyle dokazał, że Innocentego II wszędzie jako prawowitego papieża uznano i wszędzie spokój przywrócony został. Podróże jego podobne były do tryumfalnego pochodu; z okolic na milę i więcej odległych zbierał się lud na uroczyste jego przyjęcie; wszyscy pragnęli go widzieć, słyszeć, ucałować stopy jego, a wszelki opór jego, ażeby się uchylić od tych zaszczytów, był nadaremnym. Szczęśliwym był w swych usiłowaniach wymówienia się od kościelnych godności, jakie nań zlać chciano i wrócił wkrótce do swej ubożuchnej ulubionej celi.

Około tego czasu nadeszła ze wschodu złowroga wiadomość o zdobyciu twierdzy Edessy przez Saracenów i niebezpieczeństwie grożącem Jerozolimie; papież Eugeni III polecił Bernardowi, ażeby zachęcał do nowej wyprawy krzyżowej. Święty Opat usłuchał rozkazu i kazaniami które prawił, wzbudził w całej Francji niezmierną ochoczość do świętej wojny. Trudniej mu poszło w Niemczech, gdzie się srożyło prześladowanie żydów. Sam cesarz Konrad III nie miał wielkiej chęci uczestniczenia w wyprawie, ale na usilne prośby Bernarda zwołał stany państwa do Spiry. Bernard udał się do miasta przez Szwajcarję i zdziałał w drodze liczne i wielkie cuda. W Spirze przyjęto go z czcią i uwielbieniem, niezliczone tłumy ludu towarzyszyły mu przez wystrojone wieńcami i kwiatami ulice do kościoła katedralnego, gdzie nań czekał cesarz, legaci papiezcy i książęta rzeszy niemieckiej. Gdy wchodził do świątyni, duchowieństwo zaintonowało hymn „Witaj królowo", którego nuta tak rozrzewniła Bernarda, jako gorącego czciciela Marji, że przy końcu hymnu potężnym głosem zaśpiewał: „O dobra, łaskawa, słodka Dziewico Marjo!" Potem tak serdecznie przemówił do zgromadzonych i tak żarliwie zachęcił ich do świętej walki, że cesarz na cały głos się rozpłakał i krzyż sobie na piersiach przypiął; za jego przykładem poszli książęta i hrabiowie. Przy wyjściu z kościoła wziął cesarz sam Świętego na barki i wyniósł go z natłoku.

Nieszczęśliwy koniec wyprawy, spowodowany wiarołomstwem Greków, niezgodą hetmanów i bezkarnością ciurów sprawił Bernardowi wiele zmartwienia, zwano go fałszywym prorokiem, zarzucano mu wyczerpanie funduszów krajowych, wyludnienie miast i oddanie na śmierć 200,000 wojska. Bernard milczał, modlił się i cierpiał; później dopiero wymknęły mu się przy pewnej sposobności słowa: Jeżelić ludzie koniecznie szemrać muszą, niechże raczej szemrzą przeciw mnie, aniżeli przeciw Bogu".

Wiele cudów zdziałał ten święty zakonnik, ale największym cudem był on sam; zbiedzony, wychudły, chorowity mnich, miał świat na swoje rozkazy, śmiało ganił wobec monarchów, papieży, biskupów i książąt nadużycia i nieporządki, kierował masami ludu według swej woli, zapalał je do czci Boskiej, uciszał uniesienia ich namiętności, a nigdy nie przekroczył granic nakazanych pokorą. Zbyt rychło strawił ogień poświęcenia i ofiarności słabe siły jego, piękna dusza jego uleciała w niebo w r. 1153 w sześćdziesiatymtrzecim roku życia. Papież Aleksander III zaliczył go do Świętych i zezwolił na publiczną cześć jego w roku 1174.

Liczne pisma jego znamionuje szlachetna prostota i serdeczność, i z tego powodu nadano mu zaszczytny przydomek „doktora miodopłynnego", a papież Pius VIII przyznał mu tę nazwę w imię „Kościoła powszechnego".

Jak to Najśw. Panna wynagradza

tych którzy dziecięcą w niej pokładają ufność?

Podczas ostatnich wojen narodu naszego z Moskalem, żył niedaleko Warszawy zamożny pan, nazwiskiem Sokoliński. Miał on żonę, cichą, gospodarną, pobożną i bardzo kochającą Najśw. Pannę. Całem ich szczęściem na ziemi był jedyny synek Stanisław, w którego serce pobożni rodzice wcześnie wszczepiali cnoty i szczególniejsze nabożeństwo ku Najśw. Pannie. Długie lata żyli oni spokojnie, ale gdy nastała wojna, dopuścił Bóg na ten dom ciężką chorobę. Sokoliński schwytany w jednej bitwie przez Moskali, osadzony w więzieniu w Warszawie, nie spodziewał się już oglądać swego domu i cieszyć się z żoną i synem.

Biedna żona na smutną wiadomość o mężu,

omal nie zginęła z żalu. Niebawem jednak pomodliwszy się gorąco do Tej, którą tak wielce kochała, oddawszy Jej w opiekę męża, siebie i syna, jedzie do Warszawy, aby się zobaczyć z mężem. Po przełamaniu największych trudności, wpuszczają ją do więzienia wraz synkiem i pozwalają rozmawiać z mężem. Było to wieczorem o zmierzchu, z czego korzystając stroskana żona, namawiała męża, by przybrał się w jej szaty i wyszedł z więzienia ze synem, ratując w ten sposób swe życie, sama zaś ofiarowała się pozostać w więzieniu. Po długich naleganiach żony, zgodził się na to Sokoliński i w kilka chwil potem niespostrzeżony uszedł z więzienia i wkrótce wyjechał z synem zagranicę.

Zamieszkał on w Paryżu, gdzie też umieścił syna w pensjonacie pod opieką duchownych. Pomimo to jednak dręczył go nieustannie jakiś dziwny niepokój. Przed oczyma stała mu ciągle żona. Zdawało mu się, że widzi jak ją w więzieniu trapią, jak pędzą na Sybir, jak znękana kobieta lada chwila zakończy życie. A ten smutek jego nie ustawał, gdyż i biedny Staś ciągle zapytywał ojca, kiedy przybędzie matka, nie wiedząc o tem, że jej nawet pisać do męża niewolno. Tak trwało jakiś czas. Staś postępował w naukach, a biedny ojciec pocieszał go jak mógł. Niebawem nadszedł czas, w którym miał przystąpić po raz pierwszy do stołu Pańskiego. Jest zaś zwyczaj w kościele katolickim, a szczególnie we Francji, że dzień ten obchodzi się z wielką uroczystością. To też i tam, gdzie Staś, zostawał, dzieci przygotowały się od dawna do godnego przyjęcia pierwszej komunji św., a gdy się zbliżał dzień przeznaczony, schodzili się rodzice, aby błogosławić swym dzieciom. Przełożony zakładu widząc jak wielce tęsknił Staś za matką, przygotowywał go naprzód na to, że tylko ojciec będzie mu błogosławił, gdyż matka jest daleko i przybyć nie może. Ale Staś odpowiedział z jakąś dziwną ufnością: „Ja mam nadzieję, że mama tu będzie i udzieli mi swego błogosławieństwa". I tegoż wieczora napisał biedak list do starego służącego swych rodziców, Piotra, który pozostał w domu, a którego prosił, by oświadczył matce, że on wkrótce przystąpi do pierwszej komunji św. i pragnie by i ona mu błogosławiła. Ale niestety odpowiedzi nie było i tylko ojciec otrzymał karteczkę pisaną ręką żony i zawierającą te słowa: „Nie ma nadziei — pójdę w Sybir; — miej cierpliwość. Bogu wszystko ofiaruj, módl się za twą żonę". — Zbliżał się dzień pierwszej komunji św. Staś nikomu nie powiedział o swym liście do starego sługi pisanym — natomiast rozpoczął nowennę do Najśw. Panny i modlił się gorąco, by mu powróciła matkę.

W końcu ndeszła wilja dnia uroczystego dla Stasia. W tym dniu schodzili się rodzice, aby błogosławić dzieciom. Przyszedł i ojciec Stasia, i ze łzami błogosławił synowi, poczem chłopak tak się odezwał do ojca: „Wiesz co ojcze — jużeś mi błogosławił, ale ja wiem, że jeszcze i mama mi pobłogosławi, bo ja odprawiłem nowennę na tę intencję do Najśw. Panny i dzisiaj ją skończę po spowiedzi". Biednemu ojcu łza się zakręciła w oku, bo on wiedział, że jego żona stracona na zawsze. Biedny chłopcze, pomyślał sobie ojciec, ty się spodziewasz matki, a nie wiesz, że jej już może nigdy nie ujrzysz.

W tem zawołano Stasia do nauki — a ojciec smutny odszedł do domu. O godzinie piątej po południu wyszedł Stasio, by zajrzeć czy niema matki, a gdy zapytał przełożony dokąd idziesz? odpowiedział: Idę popatrzeć, czy nie przyjechała już mama. Synu! — odrzekł kapłan — wróć się do pokoju, trzeba być skupionym przed komunją; mama nie przyjedzie — pomódl się za nią. Posłuszny chłopiec wrócił, ale nie mógł się żadną miarą pogodzić z myślą, że nie przybędzie matka. Wreszcie gdy nadszedł już czas spoczynku a matki nie było, rzucił się jeszcze raz na kolana i pełen łez modlił się gorąco do Najśw. Panny.

Gdy się Staś modlił, zapukał ktoś do drzwi zakładu. Odźwierny otwiera i widzi zdziwiony jakąś kobietę, która się pyta czy nie może się widzieć ze Stasiem Sokolińskim. Już godzina późna — rzekł odźwierny — proszę przyjść jutro. Wtem Staś usłyszawszy pukanie, wychodzi jeszcze raz na korytarz — i w tej chwili kobieta owa blada i drżąca zawołała: Mój syn — Stasio! i pada zemdlona.

Była to matka Stasia, której się udało umknąć z drogi gdy ją prowadzono na Sybir i przy pomocy dobrych ludzi dostać się do Paryża.

Nazajutrz przed przyjęciem pierwszej komunji św. matka błogosławiła Stasiowi.

Wiele może przed Bogiem modlitwa dziecka za matką, modlitwa żywa, gorąca, a rzewna i ufna jaką była modlitwa Stasia.

Cud Komunji świętej

Sławny opat, św. Piotr z Clugny, który z powodu swej świątobliwości i mądrości zalicza się obok św. Bernarda do największych ludzi XII. stulecia, podaje nam w jednym ze swych dzieł*) pewien cud sakramentalny, który zasługuje na to, ażeby ogółowi znowu go przypomnieć.

Pewien kapłan, który stale prowadził przykładne życie, popadł w jakiś grzech, mimo to jednak odprawiał dalej Msze św. Kiedy pewnego razu podczas komunji trzymał w palcach Ciało Pańskie, znikła mu nagle hostja z przed oczu. Tak samo znikło konsekrowane wino w kielichu, kiedy go do ust podnosił. W ten sposób więc nie komunikował on w tym dniu, ogromnie się dziwiąc temu, co zaszło. To samo zdarzyło się jeszcze dwa razy, gdy odprawiał Mszę św., chcąc się dokładnie przekonać, czy Pan Bóg mu za każdym razem w ten sam sposób Swój gniew objawi. Gdy zrozumiał, jak straszne muszą być jego grzechy i jak wielkim gniew Boży, który na siebie ściągnął, rzucił się, rozpływając się we łzach, do nóg biskupowi z Clermont, swojemu przełożonemu, i wyznał mu wszystko z wielką skruchą. Pokutę, którą mu biskup nałożył — były to ostre posty, biczowania i inne umartwienia — spełnił sumiennie, wstrzymując się przez cały ten czas od odprawiania Mszy św., aż się biskupowi zdawało, iż zadość uczynił sprawiedliwości Bożej i dał mu znowu zezwolenie na jej odprawienie.

Kiedy znów po raz pierwszy odprawiał tę najczystszą Ofiarę, zdarzyło się ponownie coś cudownego. Ze łzami w oczach odprawił Mszę św. aż do „Agnus Dei", a gdy już zamierzał komunikować, zjawiły się nagle wszystkie trzy hostje — które uprzednio z powodu jego niegodności były znikły — i spoczęły zpowrotem na

*) De miraculis 1. I. C. 2.

złotej patenie. Tak samo zjawiła się też Krew najświętsza z tamtych trzech Mszy św. napowrót w kielichu. Miłosierny Zbawiciel chciał mu w ten sposób cudowny okazać, że grzechy jego dla wielkiej skruchy i pokuty, zostały mu w całości odpuszczone. Wśród płaczu komunikował tym razem godnie i prowadził odtąd aż do przykładnej śmierci żywot świątobliwy.

Sam biskup z Clermont opowiedział to zdarzenie świętemu opatowi, Piotrowi z Clugny, któremu też ten opis zawdzięczamy.

Wdzięczność

Jadzia i Stefcia, dwie małe dziewczynki, chodziły do miejskiej szkółki i, choć siedziały przy sobie, były jednak bardzo niepodobne.

Jadzia zawsze była porządnie ubrana, miała książki i kajety dobrze oprawne i ładny tornister do książek. — Stefcia zaś chodziło w starej sukience, której rękawy były łatane, książek prawie nie posiadała, a kajet tylko jeden i to z bardzo taniego szarego papieru zrobiony. Była ona bardzo ubogą dziewczynką, córką szewca, któremu trudno było zarabiać na całą rodzinę.

Stefcia uprosiła rodziców, żeby ją oddali do szkoły.

Wróciwszy jednak z lekcji, musiała krzątać się przy domu: sprzątać, dzieci pilnować.

Jadzia była trochę zamożniejsza. Rodzice jej mieli sklepik w miasteczku i bardzo dogadzali swej jedynaczce.

„Co ty masz na śniadanie?“ pyta raz Jadzia Stefci.

„Chleb“, odpowiada cicho Stefcia.

„Jakto? chleb sam bez masła? Jakże to możesz jadać? — Ja zaś mam smaczną bułeczkę z masłem i serem“.

I obie dziewczynki zabrały się do swego śniadania. Żal przejął Jadzię, gdy patrzała na towarzyszkę, wzięła połowę swojej bułeczki i dała Stefci.

„Moja Stefcinu, weź odemnie ten kawałek, spróbuj jak to smakuje“.

Stefcia z początku nie chciała, ale wkońcu uległa usilnym prośbom Jadzi. Nazajutrz powtórzyło się to samo. Jadzia połowę swego śniadania oddawała codziennie koleżance, a chociaż sama często czuła nieco głodu, wolała jednak trochę pocierpieć, byle podzielić się z towarzyszką.

W czasie śniadania opowiadały sobie dziewczynki o domu, o rodzicach. Wtedy dopiero poznała Jadzia, jak biedną jest jej towarzyszka.

„To ty nigdy nie miałaś ani zabawek, ani pieniędzy?“ pytała Jadzia.

„O, nie, skądżebym je miała! Przecie zarabiać nie umiem, a tatuś mój ma bardzo mało pieniędzy, nawet na książki mię nie stać“.

Jadzia chwilkę się namyśliła.

„Wiesz, a ja to miewam czasem swoje pieniądze. Wujek mi daje na ciastka, ciocia na obrazki. Mama pozwala mi robić z niemi co zechcę“.

Od tego czasu Jadzia wciąż myślała o Stefci, myślała jak jej dopomóc. Wróciwszy do domu, policzyła swoje drobne pieniądze i przekonała się, że może kupić dla Stefci książkę i ładną obsadkę.

Tak też uczyniła.

A że przyszła wcześniej od Stefci, więc obie rzeczy położyła jej na stole.

Jakież było zdziwienie i jakaż radość biednej dziewczynki, gdy ujrzała taki podarek. Domyśliła się zaraz od kogo pochodzi i serdecznie uściskała swą towarzyszkę.

Odtąd Jadzia o tem jedynie myślała, jakby się odwdzięczyć. Jeżeli dostawała co od kogo, dzieliła się z nią zawsze. Czasem bardzo głodna wracała do domu, bo większą część swego śniadania oddała Stefci, ale tak jej jakoś wesoło na duszy było, choć sama nie wiedziała czemu.

Czas na nauce schodził im prędko. Nastała Wielkanoc. Dzieci miały dużo wolnego czasu. Każdy obiecywał sobie zabawić się w tym czasie.

Jadzia krzątała się w swym pokoiku, gdy wtem wchodzi Stefcia i przynosi doniczkę fiołków.

„Moja Jadziu“, powiada dziewczynka, „ja też chciałam ci coś podarować, ale nic nie mam odpowiedniego; poszłam do lasu, pod krzakiem zobaczyłam ten ładny fiołek i wykopałam go dla

Dziewczynki ucałowały się serdecznie.

Jadzia porwała doniczkę i pobiegła pokazać ją mamie.

„Wiem“, rzekła mama, „dowiedziałam się od Stefci, za co dostałaś kwiatek, a teraz postaw go na swojem okienku i podlewaj. Niech on ci przypomina tę biedną Stefcię, której masz i nadal dopomagać“.

Dlaczego chodzi się na odpusty?

W pobliżu pewnego miasteczka znajduje się cudowne miejsce. W drodze do tego kościoła spotkał pewien młodzik, zamieszkały w mieście, jakąś starą kobietę z różańcem w ręku. Młodzik pyta się jej, czy w domu swoim nie może też tak samo odprawiać różaniec, jak w tym kościele?

Zamiast odpowiedzi pyta go kobieta: — A dokąd pan idzie?

— Ja — ja idę do karczmy... na szklankę piwa.

— A czy pan nie może w domu napić się piwa?

— Dlaczego nie, mogę i w domu. Ale w karczmie jest piwo prosto z beczki, świeże, smakuje mi tam lepiej i mam przyjemne towarzystwo.

— A widzi pan, tak samo i mnie co do modlitwy. W tym pięknym kościele tam na górce idzie mi modlitwa raźniej, mam tam lepszy gust do modlitwy i mam i tam bardzo przyjemne towarzystwo — wielu innych pobożnych i modlących się ludzi.

Młodzik pomruczał sobie coś pod nosem i oddalił się, ale już na przyszłość zostawił w spokoju pątników pobożnych spieszących do kościoła odpustowego.